

## POEZJA JAK GAZ Szkic o literatach, krytykach i nie tylko

Jak pisał Fryderyk Nietzsche w *Narodzinach tragedii*, „sztuka nie jest naśladownictwem rzeczywistości, tylko jej metafizycznym dopełnieniem, postawionym dla jej przewyciężenia”. Z tej myśli wielkiego filozofa i uczonego płynie wniosek, że sztuka to akt woli i rozumu, to dopełnienie wiedzy. Początek takiego rozumowania wyznaczył Sokrates twierdząc, że wszystko musi być rozumne, żeby było piękne, a poprowadził dalej Platon uważając, że aby wszystko było piękne, musi być także świadome. Podobne sądy wypowiadało wielu późniejszych filozofów i były one podstawową zasadą, którą kierowali się artyści, tworząc swoje dzieła.

W czasach nam współczesnych podobne herezje mocno straciły na popularności, szczególnie w literaturze, gdzie zmasowany atak jaskiniowców, słabo władających nawet własnym językiem, przyczynia się do zamiany metafizycznej czynności ludzkiego życia, jaką jest tworzenie prawdziwej sztuki, w czynność bezrozumową, instynktowną i w istocie – fizjologiczną, co siłą rzeczy czyni pisarzem lub poetą każdego, kto chwyci za pióro, a czego w przytłaczającej większości dowodzą wynoszeni, nagradzani i urzędowo uznani osobnicy, których nazwisk przez grzeczność nie wymienię. Co prawda krytyka, włącznie z tą zaopatrzoną w doktoraty i habilitacje (niekiedy śmieszne, a niekiedy nie posiadające nawet znamion pracy naukowej) uważa, że „wielkie” i „genialne” dzieła współczesnej polskiej literatury to „twórczy zamysł”, przejaw „indywidualizmu” a niekiedy „geniusz” – osobiście żywię obawę (a może to powinna być nadzieja?), że podobny twórczy zamysł może mieć stado kaczek taplających się w sadzawce (albo inne zwierzęta domowe, co kto woli). Oczywiście wynoszenie i nagradzanie mierności nie jest zjawiskiem nowym, ale takiej eskalacji głupoty i nieudolności w polskiej literaturze jak dzisiaj (ze szczególnym uwzględnieniem poezji) jeszcze nie było.

W satyrycznym i jednocześnie publicystycznym wierszu kontestującym nowe trendy w sztuce, zatytułowanym *Manifest szalony* z 1921 roku, Kazimierz Wierzyński pisał:

Precz z poezjami! Z duszą tromtadrata!  
Niech żyją bzdurstwa, bujdy, banialuki!  
Dosyć rozsądku! Wiwat trans wariata!  
Życie jest wszystkim! Nie ma żadnej sztuki!  
(...)  
Literatura kona w dzikich krzykach,  
A tłum się śmieje, tańczy do rozpuku!  
Kpy jakieś tango tańczą na pomnikach  
I wieszczom wrzeszczą: terefere-kuku!

Skamandryci (i nie tylko oni, Witkacy był pierwszy) dostrzegli zagrożenie ze strony „nadchodzącego chama”. A przecież były to dopiero początki barbarzyństwa, co więcej barbarzyństwa jeszcze programowego, w pełni świadomego, bo przecież futuryści, których Wierzyński miał na myśli, **pisali tak, jak chcieli**, i często robili to doskonale, żeby przypomnieć chociażby Anatola Sterna czy Bruno Jasieńskiego; ich współcześnie nam epigoni **piszą tak, jak potrafią**. A to ogromna różnica.

Od czasu futurystycznych eksperymentów minęły lata, zasiane przez nich ziarno dało słaby plon, a pole zwane literaturą porosło chwastami. Nastąpiły w Polsce czasy pogardy dla rozumu, wiedzy i estetyzmu w całej sztuce. Artystyczną konwencją epoki stały się: łatwość, nieudolność, bełkotliwość i wulgarność, cechy silnie wspierane przez państwo w postaci stypendiów, dotacji i innych apanaży, rozdawanych umiejącym się zakrzątnąć wokół swoich spraw wybrańcom. Tak

zwana inteligencja, zamiast się sprzeciwiać szkodliwemu mecenatowi, zamieniła się w zindoktrynowaną medialnie masę, tępą i bezwolną, niczym bohaterowie wiersza Juliana Tuwima *Mieszkańcy*:

Jak ciasto biorą gazety w palce  
I żują, żują na papkę pulchną,  
Aż, papierowym wzdęte zakalce,  
Wypchane głowy grubo im puchną.

Krytyka, nie dość, że zwykle niedouczona, to nawet nie jest w stanie przeprowadzić prostej analizy utworu, ograniczając się co najwyżej do streszczenia fabuły albo do naiwnego komentarza, ubranego w pseudoerudycyjną, znoszoną kufajkę banałów bez pokrycia, którego powstydziliby się przedwojenny gimnazjalista. Kraj spowity jest gęstą mgłą absurdu i rozwiąć ją nie sposób, dopóki w kulturze działają ludzie, których jedynym celem jest kompromitowanie Polski; ludzie często słabo wykształceni, ziejący nienawiścią do reliktywnej już, autentycznej inteligencji (nie mylić z wymienioną wcześniej „tzw. inteligencją”), do najmniejszego nawet przejawu niezależnej myśli. Ich działanie – *nota bene* prawie wyłącznie finansowane z publicznych pieniędzy – sprawia wrażenie, jakby chcieli dostarczyć niezbitych dowodów zwolennikom teorii o niższości rasowej Polaków, przedstawiając jako naszą elitę intelektualną nieudolnych pisarzy i poetów, którzy z trudem posługują się ojczystym językiem, bynajmniej nie dlatego, że taką mają artystyczną wizję, ale dlatego, że inaczej nie potrafią. Skoro więc najlepsi z najlepszych robią wrażenie – tu eufemizm – niezbyt błyskotliwych, to jak wygląda przeciętny mieszkaniec kraju nad Wisłą? Strach pomyśleć, a przecież nie jest to pytanie, którego nikt za granicą nigdy nie zada.

To była dłuższa dygresja. Wracając do sedna sprawy: istotą sztuki wysokiej, czystej, jest nie odbicie zjawiska, tylko odbicie woli, dążenie, by fizyczności przeciwstawić metafizyczność, do tego najlepiej posługując się prostymi środkami, w celu zachowania elegancji formy. Pięknie wyraził to Horacy w *Sztuce poetyckiej* tymi oto wersami:

Ze znanych słów pieśń złożę taką, by każdy, kto sędzi,  
że potrafi tak samo, na próżno się trudził,  
ważąc się na to: tyle układ znaczy,  
taki zaszczyt przypada wyrazom potocznym.

No właśnie, to świadomość powinna kierować twórcą. A krytykiem? Może instynkt? Zazwyczaj jednak instynkt rządzi jednym i drugim, co kończy się – w najlepszym przypadku – na wyprawie z wędką na pustynię, czyli gorączkowym poszukiwaniu intelektualnych wartości w utworach będących wynikiem popędów, upojeń, urojeń czy przeżyć. Prowadzi to do śmieszności autora i jego apologety oraz do powszechnego przekonania, że pisać, a szczególnie klecić wiersze, może każdy, bo przecież prawie nikt, tak naprawdę, już nie traktuje tego poważnie (oczywiście z wyjątkiem samych piszących), i mało kto się na tym zna. I znowu przypomina się Horacy:

Mądrość jest i początkiem i źródłem pisania (...)

(...) kto grać nie umie, stroni od sprzętów ćwiczebnych,  
niewprawny, piłki, dysku, obręczy nie rusza,  
aby tłum gęsty nie śmiał się z niego bezkarnie:  
kto w wierszach ignorantem – pisze.

Jak widać nic się nie zmieniło od czasów rzymskiego poety.

Krytyka i teoria sztuki to w dużej mierze zbiór mniemań i niepopartych dowodami sądów. Niewątpliwie jest to słabość tej części humanistyki, spoglądającej zazdrośnie w stronę nauk przyrodniczych i próbującej zapożyczyć metody analizy jakościowej i ilościowej od poważnych

naukowych dyscyplin. Swoją drogą to ciekawe, dlaczego magicy od krytyki literackiej nie skorzystają z doświadczeń chociażby muzykologów i nie zaadaptują – przynajmniej fragmentarycznie – ich systematyki i metodologii, znacznie ułatwiając życie sobie i piszącym. Zauważmy, że zajmujący się hip-hopem (rapem?), techno czy punk rockiem muzycy i recenzenci nie mądrzą się na temat muzyki Chopina, Szymanowskiego, Strawińskiego, i odwrotnie, Jerzy Waldorff nie napisałby recenzji albumu Dody czy Mezo, podobnie – jak miemam – nie uczyniłby tego Krzysztof Penderecki. To są osobne byty, odrębne estetyki, wymagające innej metodologii i wiedzy, oraz innego smaku. A w literaturze? Wielki bałagan i wynikające stąd nieporozumienia. Zwykle jest tak, że samozwańczy recenzent lub krytyk zjadł na domokulturowych kursach zaocznowieczorowych wszystkie rozumy, zagryzł odpadkami z nieszuflady.pl, sam napisał wierszyk albo kilka, i z typową swobodą niedouka feruje wyroki, pisze i mówi zarówno o poezji filozoficznej, klasycyzującej, estetyzującej, jak i o bełkocie neoturpistów, neolingwistów i innych, jakże dzisiaj modnych i jakże banalnych grafomanów i półanalfabetów. Oczywiście, te pierwsze trzy rodzaje poezji nasz geniusz uważa za niedobre i wtórne, zaś to, co jest nieudolnością, nazywa awangardą i indywidualizmem, dowodząc tym samym wprost, że jest on na bakier nie tylko z wiedzą, ale i z logiką. Nie wiemy też, jakie stosuje kryteria wartościujące – poza swoim widzimisię – bo on sam tego nie wie. To zupełnie tak, jakby miłośnik odpadków ze stołówki czy innych fastfudów gardził wykwinną kuchnią – której nawet nigdy nie skosztował – bo taka mało oryginalna i przewidywalna, gdy w istocie idzie wyłącznie o to, że on nie umie posługiwać się nożem i widelcem i w ogóle zachowywać się przy stole. Cóż to za perwersyjna dziwność, napisałby pewnie dzisiaj Witkacy, którego stosunek do krytyki podzielał (choć przez te lata podupała tak, że mógłby użyć słów niecenzuralnych).

Współczesna polska literatura i krytyka cierpi na chorobę, którą można by nazwać barbarzyńskim zespołem nieudolności. Jej głównymi objawami są: niechęć do wszelkich form intelektualizmu i jednocześnie nerwowe poszukiwanie go, pogarda dla warsztatu, wiedzy, rzetelności i estetyzmu nazywana awangardowością, banalność i konwencjonalizm, strach przed indywidualnością i myślową suwerennością, brak filozoficznej refleksji i dialogu z przeszłością. Chorobę pielęgnują zajmujący się literaturą (często „z doskoku”) kompletnie nieprzygotowani, bojaźliwi i przypadkowi dziennikarze oraz tak zwani pracownicy naukowci uczelni i instytutów, którzy za publiczne, czyli nasze pieniądze, czerpią swoją bezużyteczną wiedzę z gazet i z książek pisanych przez innych darmozjadów, żyjąc złudzeniami kopistów, niczym bohaterowie Flauberta – Bouvard i Pécuchet, dwa klasyczne przykłady głupców zanurzonych w krynicy papierowej mądrości. Oczywiście, jak wszelkie uogólnienie i to jest niesprawiedliwe, ale statystyka jest bezlitosna – tak dzisiaj w Polsce wygląda dominanta zbiorowości piszących i ich komentatorów. I tylko żal zostaje, że tacy ludzie jak profesor Jerzy Poradecki czy Zbigniew Herbert, przedstawiciele wymarłego prawie gatunku intelektualistów, nie zaburzają już spokojnego, ponuro-śmiesznego obrazu naszej współczesnej krytyki i literatury, solidnie opanowanych przez wypelzłych z zapadłej dziury neandertalczyków. Ale zawsze mogą próbować zrobić to inni – bo inaczej wizja Bruno Jasieńskiego z wiersza *Do futurystów*, dotychczas tylko spełniająca się, spełni się do końca:

Poezja  
z rur się wydziela  
jak gaz.  
Wszyscy zginiemy.